

Śpij, dziecino, zamknij oczka

Przełożyła Zuzanna Mrozikowa

- Babciu, opowiedz mi o Arteku – prosisz, rozkopując się, Oliwia.
- Przecież znasz to na pamięć. Tysiąc razy ci opowiadałam.
- Chcę jeszcze raz – nie daje spokoju dziewczynka i zaczyna wstawać z łóżeczka.
- Opowiedz! Opowiedz!
- No dobrze – zgadza się siwiutka staruszka.
Zdejmuje okulary, odkłada książkę z bajkami Hauffa, gasi światło i przysiadłszy obok wnuczki, spokojnie opowiada:
 - Dawno, dawno temu, kiedy byłam pionierką...
 - Czy ja kiedyś też będę pionierką? – przerywa Oliwia, ten istny aniołeczek.
 - Nie, dziecinko, niestety, nie będziesz – wzdycha babcia.
 - A dlaczego?
 - To chcesz, żebym opowiadała o Arteku, czy nie? – droczy się babcia.
 - Chcę.
 - No to słuchaj... – poprawia poduszkę – Dawno, dawno temu, kiedy byłam pionierką, słuchałam rodziców, nauczycieli, wszystkich dorosłych i pilnie się uczyłam. W dzienniczku miałam same piątki, a zachowanie – wzorowe. W nagrodę za pilność dostałam skierowanie do Arteku – świata dziecięcych marzeń. Koledzy i koleżanki z klasy zazdrościli mi, że pojedę latem na Krym, na obóz pionierów, gdzie spotykają się najlepsze dzieci z całego świata: weseli Uzbegy i ruchliwi Kirgizi, tajemniczy Lezgini i niecierpliwi Węgrzy, towarzyscy Polacy i zawsze uśmiechnięci Mołdawianie, a nawet Amerykanie i marzycielscy Etiopczycy. W Arteku rozbrzmiewają najprzeróżniejsze języki – aż płacze się w głowie. Na słonecznym Krymie jest pięknie, ciepło, rosną palmy, widać góry, skały, rafy, można siedzieć w wodzie całymi godzinami i nie zmarznąć, skaczą delfiny, pływają meduzy, pełzają kraby, a ryby – da się łowić rękami. A kto nie chce się kąpać, ten leży sobie na plaży, w leżaku, korzysta ze słońca, opala się, marzy. Tam, w Arteku, spotkasz najwspanialszych przyjaciół, chłopców i dziewczęta, a zabawy nigdy się nie kończą – trąbki, uroczyste zbiórki, wciąganie i opuszczanie flagi, nocne marsze, gitary, sztafety, loterie, ogniska, zawody sportowe, konkursy recytacji, tańca, śpiewu. Wszystkiego nie zliczę. W Arteku każdy jest koleżeński – jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeśli kogoś spotkało nieszczęście, to zawsze ktoś mu pomógł. Jeśli komuś zrobiło się smutno, koledzy nie pozwolili mu się długo smucić. My, pionierzy, wymyśliliśmy w Arteku przeróżne wygłupy. Kiedyś pokłóciłyśmy się z dziewczynami o Mabutę el Hasano z Somalii – wszystkie się kochałyśmy w tym czarnym jak heban chłopcu. Mabutę był chorącym w drużynie imienia kosmonauty Komarowa, najgłębiej nurkował, najcelniej strzelał z łuku, był odważny, zwinny,

najszybciej rozpałał ognisko, był najlepszym skoczkiem, a w meczach piłki nożnej nigdy nie stracił bramki – prawdziwy księżę z bajki. Jego lamparcie ruchy, niebieskie oczy, kręcone, czarne jak smoła włosy, aksamitna skóra, pewne spojrzenie, muskularne ręce, stalowa pierś, uda, hipnotyzujący zapach potu – to wszystko zniewalało Bułgarki i Kazaszki, Armenki i Białorusinki, pionierki wszystkich narodowości. Dziewczyny z Arteku zupełnie oszalały na jego punkcie, każda chciała go mieć. A Mabutu el Hasano trzymał się z daleka. Żadnej, choć był zawsze uprzejmy, nie okazywał względów – nosił jedwabny, pionierski krawat i kolegował się tylko z drużynowym Siergiejem – kandydatem do Partii. Mniejsza o to, pokłóciłyśmy się z innego powodu – żadna z nas nie widziała nigdy murzyńskiego, no, jakby ci tu, dzieciно, powiedzieć... No, kiedyś zrozumiesz... Szczególnie nie dawał nam spokoju jego kolor. Niemki mówiły, że musi być czarny, Ukrainki wyobrażały sobie, że ma kolor nieba, a Estonki milczały. Ja też nie miałam swojego zdania, choć oczywiście byłam bardzo ciekawa, bo pierwszy raz w życiu widziałam czarnego człowieka. Wieczorami, kiedy w naszym pawilonie gaśło światło, bez przerwy rozmawialiśmy tylko o tym. Wybuchwały prawdziwe wojny, dochodziło do bójek, kłęłyśmy, bluzgałyśmy, ciągnęłyśmy się za włosy, wrzask był niemiłosierny. Sami instruktorzy przychodzili nas uciszać – za karę bito nas różgą, siedziatyśmy w karczerze, nie dostawałyśmy śniadania, musiałyśmy stać całą dobę ze spuszczoneymi majtkami. Nie raz i nie dwa czyściłam latrynę szczoteczką do zębów. Ty, Oliwio, nawet nie wiesz, jak w tamtych czasach wygladały pionierskie latryny. Smród, wszystko w gównie, na sam widok człowiek wymiotuje. Pionierzy z całego świata srali nie do dziury, tylko na podłogę, na parapety, na ściany, na sufit – jak bydłęta. Nie wiem, dlaczego to robili, może protestowali... Ale przecież ja nie o tym. Wymyśliłam, że trzeba Mabutu podglądnać. Wtedy będziemy wiedziały, jakiego koloru jest jego, jakby ci tu powiedzieć, no wiesz. Wieczorem, po opuszczeniu flagi Arteku, zebrałyśmy się z najbardziej ciekawskimi dziewczynami przy sławetnej dziurze w latrynie, przez którą można było zobaczyć, jak Mabutu el Hasano będzie robić siusiu. Czekałyśmy długo. Zrobiło się ciemno. Mabutu el Hasano nie przychodził. Naogłdałyśmy się różnych, socjalistycznych i kapitalistycznych, nic ciekawego. Byłyśmy zawiedzione. Ale kiedy Mabutu el Hasano wszedł wreszcie do latryny, zamaryłyśmy. Zaczęła się przepychanka. Właziłyśmy jedna na drugą. Pionierka Ola Wiktiuk z Ukrainy zobaczyła pierwsza i po prostu oniemiała. Ledwie nam się udało oderwać ją od dziury, każda chciała popatrzeć. Ustawiliśmy się w kolejce. Byłam ostatnia, dlatego bardzo się denerwowałam, że nie zdążę. Mabutu el Hasano ciągle sikał. Kiedy była kolej piątej dziewczyny – nie pamiętam, jak miała na imię – ktoś chwycił mnie za kołnierz. Serce stanęło mi w gardle. Myślałam, że się zesram. Posusiałam się ze strachu. Odwracam się i widzę drużynowego Siergieja z Moskwy, który miał lada dzień zostać komunistą. A dziewczyny, kurwy jedne, pouciewały. Zostałam sama. Koszmar. Siergiej od razu zrozumiał, co robię. Dlatego powiedział: „Chcesz zostać w Arteku – bierz do buzi, a jak nie – to wyrzucamy z pionierów, jazda do domu, na tę twoją – i użył strasznego słowa – Litwę, droga wolna”. Przestraszyłam się groźby. To nie żarty: wylecieć z pionierów – wielki wstyd, co powiedzą rodzice, nauczyciele!?... Śpisz? Śpisz, Oliwio?... – cisza.

Dziewczynka oddycha spokojnie, zasnęła.

Babcia, Sylwia Kazabuckiene, delikatnie całuje wnuczkę w policzek, odrywa się od niej. Troskliwie poprawia jej kołderkę, żeby nie zmarzła. Głaszcze po główce.

Siedząc w ciemności, Sylwia Kazabuckiene wspomina Artek – morele, palmy, góry, delfiny, winogrona, słońce. A za oknem – śnieg z deszczem.

Według To Hoa

Przełożyła Zuzanna Mrozikowa

Nazywam się Mu Pang i jestem rządowym felczerem. Zawsze byłem pracowity, natomiast mój brat, Ziang Pang, był dywersantem. Przypominam sobie, że w tamtych latach na całym pograniczu wietnamsko-laoskim roiło się od szpiegów i dywersantów, których wysyłali imperialiści, żeby zniszczyć naszą młodą Rewolucję. Tacy szpiegzy, udając dobrych Wietnamczyków, osiedlali się w dżunglach i w górach, w małych osadach i wioskach, gdzie nasz Rząd zapewniał im dach nad głową, dawał pracę i żywność. Wydawało się, że powinni być zadowoleni, jednak dywersanci potajemnie agitowali ludność, żeby wyjeżdżała do Laosu, gdzie – według nich – żyło się weselej i dostatniej. Takim dywersantem był mój brat Ziang Pang, który wylądował w dżungli na spadochronie. Schwyтали go czujni mieszkańcy wioski Nadang. Został przesłuchany przez rządowe organy bezpieczeństwa i skazany na więzienie. Po jakimś czasie Ziang Pangowi pozwolono wrócić do wioski Nadang, ponieważ Rewolucja mu zaufała. Ziang Pang przysięgł, że nie będzie współpracował z dywersantami. Kłamał. Okłamał mnie – rządowego felczera, czułą matkę – Nia Pang, kochającą siostrę – Fu Pang, oszukał wszystkich. Jednak ja, uczeń i wychowanek Rewolucji, nie wierzyłem swojemu starszemu bratu. Od dziecka wydawał mi się podejrzany, tym bardziej więc zdwoiłem czujność, kiedy po dziesięciu latach spędzonych w Laosie i kilku kolejnych w wietnamskim więzieniu, Ziang Pang zamieszkał z nami w ciasnej, ale przytulnej chacie.

Był to okres, kiedy w wiosce Nadang poprawiał się poziom życia. Dawno minęły czasy, kiedy feudałowie uciskali chłopów. W zapadłej wiosce Rząd zbudował sklep, przychodnię i magazyn nawozów, w którym przechowywano nawóz fosforowy, azotowy i septycydowy „666”. Na gwarnej wioskowej targowisku można było kupić nie tylko sól, ale i DDT. Mieszkańcy wioski szczególnie polubili ten środek ochrony roślin.

– DDT! Przywieźli DDT! – wołali jedni, wskazując wielkie worki w magazynie spółdzielczym.

– Hura! Nareszcie! – wtórowali drudzy.

– Teraz nawozu wystarczy na długo – uspokajały się nawzajem kobiety.

– To bardzo dobrze – potakiwali starcy.

Jakże zmieniała się wioska Nadang, jakże zmienili się jej mieszkańcy! Kiedy po raz pierwszy próbowano rozsypać na polach DDT, zacofany lud rzucił się na opylacz i go zniszczył. Wkrótce jednak ludzie uświadomili sobie, że wszędzie tam, gdzie użyto DDT, powyzdychały kleszcze, karaluchy, pchły, muchy i wszy – jakby w wiosce Nadang nigdy ich nie było. Dlatego teraz mieszkańcy sami wzywają rządową brygadę sanitarną i proszą, żeby opyliła białym proszkiem pomieszczenia mieszkalne, zwierzęta, ptaki, dzieci, bydło, starców, a nawet ołtarze przodków. Trzy litery: D-D-T, na początku obce, niezrozumiałe i straszne, wkrótce stały się czymś zwykłym i bliskim sercu.

Mimo to, mój brat Ziang Pang postanowił być dywersantem. Kiedy inni radowali się nowym życiem, pracowali, ocierali pot z czoła, sypali DDT i „666”, Ziang Pang dzień w dzień siedział w chacie, milczał i patrzył w jeden punkt. Moja matka Nia Pang przeżywała coś niedobrego. Nie raz napomykała, że Ziang Pang, który wrócił z Laosu, nie jest jej pierwotnym synem. Uważała, że duszę Ziang Panga porwał w dżungli tygrys i teraz w naszej chacie mieszka ktoś zupełnie inny – jakiś obcy, podstępny i wrogi Rewolucji demon.

Ziang Pang wciąż milczał. W ciągu dnia wychodził z siekierą na ramieniu do dżungli zbierać chrust. Wracał późnym wieczorem. Tyle go widzieliśmy.

Pewnego dnia usłyszałem jego rozmowę z siostrą Fu Pang.

– Nie chciałaś mieszkać w Laosie? – zapytał ją Ziang Pang.

– A cóż tam jest takiego nadzwyczajnego? – oburzyła się Fu Pang – Tutaj towarzysze i nasz brat Mu Pang chcą mnie zarekomendować Partii.

– Nie boisz się? – nie ustępował Ziang Pang.

– Niczego się już nie boję – odparła siostra Fu Pang – Rząd czuwa nad nami, a ci, co agitują i wprowadzają ludzi w błąd, wcześniej czy później zostaną złapani i ukarani śmiercią.

Tym razem nie wtrąciłem się do rozmowy, ale niepokój, który zasiała w moim sercu, kazał mi uważniej obserwować Ziang Panga. A muszę przyznać, że śledzić go nie było mi łatwo. Miałem mnóstwo pracy. Zabobonny lud wciąż wzywał szamanów do chorych na trąd, malarię, cholerę i inne nieuleczalne choroby. Wędrowałem od wsi do wsi i sam szukałem chorych, żeby opowiadać im o medycynie i Rewolucji. Kłóciłem się z ciemnymi szamanami, którzy nie chcieli dopuścić mnie do chorych. Wystarczyło jednak wyleczyć jednego zacofanego chłopca, by wieść o rządowym felczerze Mu Pangu rozeszła się daleko poza granice naszego okręgu. Teraz mnie także wzywano do odległych wiosek i ukrytych w górach, niedostępnych osiedli ludzkich, w których nikt jeszcze nie widział rządowego felczera. Pracy było co niemiara, wychodziłem bladym świtem, wracałem po zmroku, czasami nawet dopiero następnego dnia.

Kiedyś wyleczyłem dawką proszku szamana Toa Donga. Przesądny staruszek niemal nabrał rozumu i uwierzył w naszą Rewolucję. Na dodatek, w chwili szczerości opowiedział mi, że do jego rodzinnej wsi Loa często przychodzi dziwny młodzieniec z siekierą na ramieniu i namawia, żeby uciekać do Laosu, gdzie rzekomo ludzie od dawna już nie żyją w nędzy i niedostatku.

– Nic podobnego – sprzeciwiłem się szamanowi – w Laosie panuje niedostatek, Francuzi i Amerykanie wyzyskują ubogich.

– Być może – nie upierał się Toa Dang – tak czy owak uzdrowił mnie duch, a nie Rewolucja.

– Uzdrowiło cię, szamanie Toa Dangu – powiedziałem mu – rządowe lekarstwo.

– Rzą-do-we – przesyłabizował powoli szaman Toa Dong i zmarł ze starości.

Po spotkaniu z szamanem wróciłem do domu przybity. Nie miałem wątpliwości, że agitator z siekierą na ramieniu jest mój brat Ziang Pang – imperialistyczny dywersant. Kiedy wróciłem do domu, usłyszałem, że rozmawia z matką Nia Pang.

– Mamusiu, chciałbym ci opowiedzieć, co wydarzyło się po naszym rozstaniu, kiedy zabłądziłem w dżungli – mówił Ziang Pang.

– Nie chcę nic wiedzieć – powiedziała matka Nia Panga.

– Opowiem ci – nie usłuchał Ziang Pang – bardzo za wami tęskniłem, kocham was.

– Nie, proszę – błagała Nia Pang, ale Ziang Pang nie słuchał.

○ zgrozo! Opowiadał o Birmie, o parszywym laoskim kupcu, któremu wystugiwał się przez cztery lata; powiedział, że później trafił do klasztoru w Kambodży, tam handlujący opium święci ojcowie zajęli się jego edukacją. Wtedy przyjął chrześcijaństwo, a nawet został ochrzczony wodą.

– A ten Chrystus to kto? – spytała matka Nia Pang.

– Ten Chrystus to nasz Jezus, który mieszka w niebie – wyjaśnił jej Ziang Pang.

– W niebie, razem z umarłymi? – zdziwiła się Nia Pang.

– Tak, mamusiu, wszyscy dobrzy ludzie idą po śmierci do nieba i mieszkają tam z umarłymi.

– A nie zdarzyło ci się przypadkiem trafić już do tego nieba – mama Nia Pang z przekąsem zrobiła aluzję do spotkania z tygrysem

– Nie – odpowiedział Ziang Pang.

Usłyszawszy to wszystko, zrozumiałem, że Ziang Pang jest stracony. Słusznie siostra Fu Pang i matka Nia Pang mówiły, że przed laty został zaatakowany przez dzikie zwierzę i zamieniony w jakąś nieludzką istotę. Było oczywiste, że mój brat Ziang Pang jest dywersantem. Potrzebowałem jednak dowodów. Chciałem złapać go na miejscu zbrodni.

Pewnego dnia o świcie Ziang Pang, nie mówiąc nic ani mnie, ani siostrze Fu Pang, ani nawet matce Nia Pang, zarzucił siekierę na ramię i wyszedł do dżungli po chrust. Ruszyłem za nim. Szedłem godzinę, może dwie – nie pamiętam, byłem wzburzony, pałałem chęcią zemsty. W pewnym momencie przebiegło mi przez myśl, że się pomyliłem, że mój brat Ziang Pang nie jest dywersantem, tak pilnie zbierał chrust. Ale kiedy skierował się do jaskini, wiedziałem – prawda jest po mojej stronie. Zobaczyłem, jak mój brat Ziang Pang wyciągnął z kryjówki w jaskini małą zagraniczną radiostację, założył słuchawki i postukując zaczął nadawać zdradzieckie sygnały wrogom Rewolucji. Nie zawahałem się. Podbiegłem do niego, chwyciłem leżącą obok siekierę i zaatakowałem nią brata. Ziang Pang stchórzył, zaczął uciekać. Dogoniłem go. Przyparty do muru, przyznał się, że jest laoskim dywersantem i zaczął błagać o litość.

– Już raz Rząd okazał ci litość i nie ukarał śmiercią – odpowiedziałem.

– Nie chciałem być szpiegiem, zmusili mnie ojcowie misjonarze – usprawiedliwił się, pokazując krzyżak na szyi.

– Nie wierzę ci. Udowodnij – powiedziałem.

I wtedy Ziang Pang, pocałowałszy w pierw krzyżak, wyciągnął ze spodni pasek, przeciął przez gałąź, zrobił pętlę i na moich oczach zaczął się wieszać. Nie powstrzymałem go. Nie było mi go żal. Powieszenie się na krótkim pasku było niełatwe, prawie niemożliwe, ale nawet nie próbowałem mu pomóc. Stałem z siekierą w ręku i bez żadnych wyrzutów sumienia patrzyłem, jak mój starszy brat – dywersant Ziang Pang – próbuje odejść do swojego Chrystusa. Kiedy Ziang Pang pomimo trudności dopiął swego, zrobił się siny i coraz ciszej rzeźił, przypominałem sobie, że jestem rządowym felczerem i zaprzysiągłem wierność Rewolucji. Dlatego zdjąłem nieprzytomnego Ziang Panga z gałęzi i zacząłem go cucić. Cuciłem i myślałem – zawlokę dywersanta do wsi, a tam już go ukarzą sami mieszkańcy wioski Nadang – zostanie ukamienowany. Ta myśl sprawiła mi wielką radość, zrobiło mi się tak dobrze, tak lekko na sercu, że zapomniałem o bólu, którego doświadczą matka Nia Pang i siostra Fu Pang, kiedy dowiedzą się, że ich syn i brat jest dywersantem.

Kiedy dociągnąłem Ziang Panga do wioski, targ już się skończył. Potożyłem brata przed magazynem i wołałem rozchodzących się ludzi, żeby zobaczyli, jak wygląda dywersant. Przed magazynem znów zgromadziła się cała wieś. Nawet przykutych do łóżek starców przyniesiono na noszach, by mogli zobaczyć twarz swojego wroga. Przybyła pośpiesznie moja matka Nia Pang i siostra Fu Pang, a nawet Toa Szua sekretarz partii i przewodniczący spółdzielni produkcyjnej wioski Nadang.

– Ty tajdaku! – krzyčeli ludzie.

– Towarzysze, towarzysze – zwróciłem się do zgromadzonych – ten potwór udawał, że dobrowolnie oddaje się w ręce sprawiedliwości, żeby podburzać lud i podstępnie działać na naszą szkodę. Namawiał moją matkę Nia Pang i siostrę Fu Pang, by porzuciły pracę i uciekły do Laosu. Przyłapałem go w jaskini, jak nakładał słuchawki na uszy. Ja, Mu Pang, zdemaskowałem jego kłamstwa i przywlokłem go tutaj!

– Mamo! Mamo! – szlochał Ziang Pang – Mamusiu, tęskniłem za wami, Kocham was.

– Nie jesteś moim synem – powiedziała zdecydowanie Nia Pang.

– Śmierć dywersantowi! – zawołał ktoś z tłumu.

– Precz! Zabić go! – krzyčwały kobiety z dziećmi.

– Precz! Precz! Ukatrupić! – krzyčwała głośnieję od innych siostra Fu Pang.

– Zabijcie mnie! Zabijcie! – błagał Ziang Pang i został wysłuchany.

Mieszkańcy wioski Nadang zaczęli okładać Ziang Panga – jedni kijami, inni kamieniami, jeszcze inni tym, co było pod ręką, niektórzy tłukli go pięściami albo kopali. Ziang Pang nie stawiał oporu, tylko zamknął oczy. Matka Nia Pang wzięła ode mnie siekierę i jako jedna z pierwszych zadała swojemu synowi Ziang Pangowi cios w głowę. Siostra Fu Pang chwyciła bambusowy kij i siekła nim Ziang Panga po grzbiecie, szyi, piętach,

a przewodniczący spółdzielni i sekretarz komórki partyjnej Toa Szua wyciągnął nóż i wbił go prosto w serce Ziang Panga.

– Zarżnąłem go jak wściekłą świnie – powiedział towarzysz Toa Szua, wycierając o koszulę zakrwawiony nóż.

– Zasłużył sobie na to – nie kryła radości matka Nia Pang, patrząc na zwłoki syna.

Dywersant Ziang Pang wyglądał żałośnie – leżał zwiotczony, siny, z powyręczanymi kończynami, opuchniętą twarzą, ranami na głowie, zabłocony, martwy. Przeszał być dywersantem, stał się nędznym, niepogrzebanym trupem – odrażającą kupą mięsa. I nikt mu nie współczuł.

– Natychmiast zwołaj zebranie komórki partyjnej – powiedział do mnie towarzysz Toa Szua. – Pora przyjąć twoją siostrę Fu Pang do Partii, osobiście ją zarekomenduję.

– Mamo! Mamusiu! – zawołała z radości siostra Fu Pang. – Ja – do Partii!

Kobiety padły sobie w ramiona, łzy płynęły po ich twarzach, a przewodniczący Toa Szua podał mi rękę, mocno uścisnął i powiedział:

– Człowiek, towarzyszu felczerze, musi zachowywać spokój i godność wobec zmienności przyrody. Nasze skromne zadania są zaledwie kroplą w morzu Rewolucji, ale nie wolno nam ich zaniedbywać. Szanujmy je, towarzysze.

I to była prawda. Mieszkańcy wsi Nadang stojąc, zaczęli bić brawo. Wszystkim spadł z serca ciężki kamień. A ja, rządowy felczer, patrzyłem na szczyty gór i myślałem: daleko za górami jest Kuba.



Wojciech Gola, *Tag 2*



Wojciech Gola, *Katedra*